

Szczyt pod choinkę. Wigilia na Fitz Royu

Jesienią 1984 roku wziąłem udział w alpinistycznej wyprawie w Patagonii w Argentynie razem z alpinistami z Krakowa: **Piotrem Lutyńskim, Wiesławem Burzyńskim, Mirosławem Falco-Dąsałem i Jackiem Kozackiewiczem**. Naszym celem było przeprowadzenie nowej drogi, wiodącej wielkim zacięciem na północnej ścianie Fitz Roya, bardzo trudnego szczytu w Cordillera Patagonica. Mimo, że nie bardzo wysoki - 3441 m n.p.m. - w środowisku alpinistycznym owiany jest legendą. To wymarzona do wspinaczki szklana góra; wielki, strzelisty szczyt, pokryty lodową czapą, o potężnych, pionowych, granitowych ścianach o wysokościach do 2000 m, otoczony trudnymi do przejścia lodowcami. Niezależnie od dużych trudności technicznych jakie napotykają alpiniści w Patagonii, największym problemem są bardzo trudne warunki pogodowe. W tym najbardziej wietrznym rejonie świata, w górach, gdzie w roku jest tylko kilka dni dobrej pogody, każdy zespół musi uzbroić się w wielką cierpliwość. Zdarza się, że na dobrą pogodę czeka się nawet dwa miesiące.

My byliśmy pełni optymizmu. Na początku grudnia założyliśmy bazę w Piedra del Fraile w dolinie Rio Electrico, w częściowo rozwalonym szałasie, w którym wiele lat spędził zasłużony dla Patagonii włoski ksiądz Alberto Maria de Agostini. W trakcie czekania na poprawę pogody, zeszliśmy z Jackiem Kozackiewiczem do schroniska w celu uzupełnienia zapasów żywności. Pogoda była paskudna, z przyjemnością opuściliśmy targaną wiatrem naszą bazę. W połowie drogi skręciliśmy do obozowiska w Rio Blanco, skąd alpiniści wyruszają na drogi wiodące południową ścianą Fitz Roy'a. Ucieszył nas widok dymu,

wydobywającego się przez dach szafasu, spodziewaliśmy się bowiem zastać poznaną niedawno dwójkę alpinistów amerykańskich.

W szafasie powitało dwóch facetów w kominiarkach, powiedzieli, że są Włochami, choć między sobą mówili po niemiecku. Poczęstowali uprzejmie herbatą. Ponieważ w Patagonii nieczęsto spotyka się ludzi, toteż zarówno oni jak i my byliśmy ciekawi nowych wieści. Przedstawiliśmy nasze zamierzenia, a ponieważ byliśmy w tym rejonie już od pewnego czasu, zostaliśmy potraktowani jako eksperci od tych gór i specjalistami od pogody patagońskiej. Z kolei gospodarze szafasu przyznali się, że przyjechali tutaj, by wejść na Fitz Roya w ramach oczekiwania na otrzymanie zgody władz argentyńskich na przelot samolotem na Antarktydę i skorzystania z zapasów paliwa będących w argentyńskiej antarktycznej bazie.. Ich zamierzeniem było zdobycie Mount Vinson - najwyższego szczytu Antarktydy.

Wszystko to wyglądało trochę nieprawdopodobnie, toteż bardzo taktownie zapytałem ich o kwalifikacje wspinaczkowe. Dobrze, że zrobiłem to stosunkowo grzecznie, bo *Koza* – Jacek Kozaczkiewicz dyskretnie klepnął mnie w plecy i cichaczem powiedział;

– Ty, uważaj co mówisz, to jest sam **Reinhold Messner**.

Rzeczywiście, przyjrzałem się dokładnie, przede mną siedział najlepszy alpinista świata, drugim okazał się wyśmienity wspinacz **Hans Kammerlander**.

Cóż, zrobiłem dobrą minę do złej gry, rozmowa potoczyła się dalej, porozmawialiśmy jak gdyby nigdy nic o wspólnych znajomych, podzieliśmy się ostatnimi nowinkami o polskich wyprawach himalajskich. Messner z szacunkiem odniósł o polskiej próbie zdobycia zimą północnej ściany Cho Oyu w Himalajach Nepalu. (Wyprawa prowadzona przez Andrzeja Zawadę dwa i pół miesiąca później

zakończyła się sukcesem.)

Pożegnaliśmy się po godzinnej rozmowie. Poprosiłem o zrobienie wspólnego zdjęcia. Na tych zdjęciach, w naszych polskich dresach, wyglądamy trochę jak ubodzy krewni, przy naszych rozmówcach, „wypasionych” w polary i goreteksy.

Mimo że byliśmy doświadczonymi wspinaczami, nikt w Polsce na nas nie liczył. Tym bardziej, że wyekwipowani byliśmy nie najlepiej. Gdy na początku grudnia przejaśniło się niebo wróżąc lepszą pogodę, z grot lodowych, w których przetrzymaliśmy wichury i śnieżyce, ruszyliśmy pod ścianę. Od razu natknęliśmy się na duże trudności techniczne. Początkowo droga wiodła przez zalodzone kominy i rysy, które pokonywaliśmy w rakach, najczęściej stosując technikę hakową. Po czterech dniach ciężkiej wspinaczki dotarliśmy do maleńkiej półki skalnej, kazalniczki zawieszanej nad czterystumetrową podstawą ściany. Tu biwakowaliśmy opatuleni w płachty biwakowe i w krótkie śpiwory, tzw. nogi słońca. Z półki roztaczał się widok na strzeliste pasma górskie na lądolodzie patagońskim. Po chilijskiej stronie mogliśmy zobaczyć zamgloną linię horyzontu już nad Pacyfikiem. Kolejne sześć dni (od 16 do 22 grudnia) zajęło nam pokonanie wielkiego 600-metrowego zacięcia wznoszącego się nad półką biwakową. W górnej partii tego zacięcia byliśmy zmuszeni robić skomplikowane wahadła na linach przerzucając się z jednej rysy do drugiej. Pokonywaliśmy szereg okapów skalnych, stosując iście akrobatyczne sztuczki. Dużym utrudnieniem była lodowata woda spływająca po wielkich dachówkowatych płytach ze szczytowej śnieżnej czapy, która uniemożliwiała nam wspinaczkę w południe.

Gdy tak wisieliśmy na ścianie, mając pod nogami, tysiąc metrów niżej,

lodowiec, pojawiły się za naszymi plecami kondory. Sześć wielkich ptaków o ponad dwumetrowej rozpiętości skrzydeł krążyło bezszelestnie. Wielkie te ptaszyska bez ruchu skrzydeł swobodnie wznosiły się w górę. W sobie tylko wiadomy sposób wykorzystywały kominy powietrzne. Wówczas namacalnie poczuliśmy naszą ociężałość i ograniczone możliwości ludzkiego ciała. Wznosiliśmy się mozolnie każdego dnia zakładając liny poręczowe i zjeżdżając na noc do naszej półki biwakowej na kazalnicy. Nie tylko samo wspinanie wymagało wielu umiejętności. Codzienne wchodzenie kilkaset metrów do góry po pionowych, zawieszonych linach, z piętnastokilogramowym plecakiem okupowane było nadludzkim wysiłkiem.

Noc z dwudziestego trzeciego na dwudziestego czwartego grudnia zastała nas na po jedenastu dniach wspinaczki na wąskiej skalnej przełęczy, do szczytu brakowało nam jeszcze trzystu metrów. Zasypani przytuleni do siebie, w ubraniach i w płachtach biwakowych, nie byliśmy w stanie wytransportować do góry sprzętu biwakowego.

I gdy tak usiłowaliśmy zasnąć, starając się znaleźć najbardziej wygodną pozycję na zimnej skale, będąc przekonani, że jesteśmy w jednym najbardziej niedostępnych miejsc na świecie, niespodziewanie usłyszeliśmy jakieś omamy, tak jakby ktoś pokrzykiwał z drugiej strony przełęczy. Słyszeliśmy to wszyscy, zatem odważyłem się, sam nie wiem dlaczego po angielsku, zapytać:

- Hej, jest tam ktoś?

Odpowiedziano mi po angielsku.

- Tak, to my, Amerykanie, **Bobby Knight** i **Alan Kearney**. Wspinamy się od tygodnia filarem Casarottiego.

To było niesamowite, tak naprawdę bardzo rzadko się zdarza, żeby w tak trudno dostępnym miejscu spotkały się dwa zespoły. My poczuliśmy się trochę różnie, mając świadomość, że tuż pod nami są jeszcze inni wspinacze, z którymi poznaliśmy się w dolinie, podczas oczekiwania na koński transport.

Amerykanie nie dotarli tej nocy do nas, biwakowali w niewygodnym miejscu pod drugiej stronie stromej turni, oddzielającej ich od naszej przełęczki.

Zanim po mroźnej nocy wschodzące słońce nie postawiło nas na nogi, zobaczyliśmy Amerykanów sprawnie zjeżdżających w naszą stronę. Z zazdrością patrzyliśmy na ich ekwipunek i wspinaczkowe wyposażenie, o którym moglibyśmy tylko pomarzyć.

Po kilku słowach powitania, amerykańscy wspinacze od razu przystąpili do rzeczy.

- Macie coś do jedzenia, od dwóch dni nie jedliśmy, drogę przeszliśmy nowym wariantem i to zabrało nam bardzo dużo czasu.

Mieliśmy jeszcze resztki żywności i dużo gazu, bez słowa zabrałem się do topienia wody ze śniegu i do gotowania. Po kilkunastu minutach podałem im słodzoną kaszkę kukurydzianą, na dwóch maszynkach gotowałem kolejną wodę na herbatę.

Amerykanie zjedli wszystko z apetytem, poprawili kaszkę kawałkami sera i dopiero potem przyznali się, że oni nie cierpią kaszki kukurydzianej, ale ta akurat wyjątkowo im smakowała.

Każdy z nas to spotkanie zapamiętał trochę inaczej. Alan Kearney w swoim artykule wydrukowanym w „The American Alpine Journal” nie tylko umieścił nasze zdjęcia ale i wspomniał oczywiście o tak niezwykłym spotkaniu. Zapamiętał też poczęstunek. Według niego przepraszałem za drobiny piasku i gruzu skalnego,

mogącego zostać na dnie menażki po wytopieniu dość brudnego śniegu. Jednak ta minimalna obecność materiału skalnego w niczym nie przeszkadzała im w opróżnieniu menażki do dna.

Tego dnia pokonaliśmy ostatnie trudności, by o 15 osiągnąć nierealny dla nas wierzchołek. Szczyt tworzyła dość długa grań pokryta kamieniami, których o dziwo nie wywiały ciągłe wiatry osiągające prędkość do dwustu kilometrów na godzinę. Ponad godzinę spędziliśmy na wierzchołku, rozkoszując się rozległą górzystą panoramą, Nasza radość była jednak tłumiona świadomością niebezpieczeństw grożących podczas zjazdów ze szczytu na linach.

Zmieniła się pogoda. Zrobiło się mroczno, zaczął sypać śnieg. W czasie zjazdów na przełęczy spotkaliśmy wspinających się na szczyt dwóch Amerykanów. Pod wieczór byliśmy na przełęczy, gdzie o 21 rozpoczęliśmy nasz wieczór wigilijny. Amerykanie dołączyli do nas później. Nie najbogatszy był nasz jadłospis. Na siedem osób mieliśmy jedną paczkę wojskowych sucharów, konserwę szprotek i jedną mielonkę. Podzieliliśmy się sucharami jak opłatkiem. Nie wymawialiśmy żadnych życzeń, każdy z nas aż za dobrze wiedział, że życzymy sobie powrotu z tej strasznej góry.

Szprotki zastąpiły nam karpia. A z mielonką mieliśmy straszny dylemat. Zjeść? Nie zjeść? Jednak głód był silniejszy. Zjedliśmy mięsną konserwę. Dwa tygodnie później polskim księżom w Buenos Aires przyznaliśmy się ze skruchą do „grzechu”. Wytłumaczyli nam, że w Polsce była już pierwsza w nocy pierwszego dnia Bożego Narodzenia... zatem mogliśmy już jeść mięso.

Niezwykły był to wieczór wigilijny. Siedzieliśmy przytuleni do skały na wąskiej, urwistej przełęczy. Nad nami piętrzyły się strzeliste turnie, wśród których hulał

wiatr. Pod nogami mieliśmy ponad tysięczną otchłań. Przez kilka godzin śpiewaliśmy z zapałem kolędy. Ich melodia w tej dzikiej, górskiej scenerii robiła olbrzymie wrażenie. Niestety z czasem nasz śpiew, z powodu zimna, zmienił się w kłapanie szczęk.

Do patagońskich dolin

Pierwszy dzień świat powitał nas dobrą pogodą, Z ciężkimi plecakami zaczęliśmy serię zjazdów na linach. Zjazdy zajęły nam cały dzień i dopiero późno w nocy dotarliśmy na lodowiec. Poniżej szczeliny brzeżnej spaliśmy jak susły na byle jak wyrąbanej w lodzie platformie. Czuliśmy się już bezpieczni. Gdy następnego dnia na niebie zobaczyliśmy długie cygara chmur, zapowiadające załamanie się pogody, wiedzieliśmy już, że wycofaliśmy się ze ściany w ostatniej chwili. Zmęczeni, wracając do bazy po postrzępionym lodowcu, często spoglądaliśmy na wielką północną ścianę Fitz Roya z nową, wytyczoną przez nas polską drogą. Byliśmy wykończeni, głodni, niewyspani, brudni. Ale cieszyliśmy się, że żyjemy, że wracamy do zielonych, patagońskich dolin tętniących pełnią subarktycznego lata.

Na sylwestrowej zabawie wspólnie bawiliśmy się w schronisku. Łało się dobre argentyńskie wino, trochę dzieliliśmy się wrażeniami, ale głównie cieszyliśmy się życiem i już omawialiśmy plany następnych górskich przedsięwzięć.

Post scriptum

Minęło ponad 27 lat od tamtej wspinaczki. Do tej pory nikt nie pokusił się o powtórzenie naszej drogi wielkim zacięciem Grande Diedro na wierzchołek Fitz Roya. Z naszego zespołu wykruszył się Mirek Falco-Dąsal. Mirek, który był

wspinaczem największego formatu i pokonał największe trudności w trakcie naszej patagońskiej wspinaczki, zginął w lawinie w maju 1989 r. w trakcie zejścia z Everestu. Również Jacek Kozackiewicz odszedł do krainy wiecznego wspinania; w 1999 roku zginął w wypadku samochodowym.

Michał Kochańczyk